Nr. 20 We Lwowie, 16 października 1929 Rok 51



ORGAN MAŁOPOLSKIEGO TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO

WŁADYSŁAW CZERNIEJEWSKI

Z teki starego leśnika

(Ciąg dalszy)

Wreszcie siedzę już spokojny od godziny nad niewielkim stawem z wlepionym pod zastawy grobli wzrokiem, skąd rabusia oczekiwałem. Zaraz z wieczora dał się słyszeć przedłużony ostry świst gdzieś na sąsiednich stawach. Około północy, już bliższy dał słyszeć się sygnał, a potem długa nieskończona przerwa. Znów całe godziny męczącego wyczekiwania i natężonego wzroku i słuchu. Noc była chłodna, bezksiężycowa, lecz dość widna, na 50 do 80 kroków mogłem rozróżnić przedmioty. Lekki wietrzyk zmarszczył powierzchnię stawu, niekiedy fala gwałtowniej o niskie brzegi uderzała. Już traciłem nadzieję zobaczenia rabusia, gdy przez zastawy pod mostem jakiś cień przebiegł mi szybko, krótki plusk wody, potem znów bezkońcowe wyczekiwanie. Nagły gwizd rozległ się w końcu małego stawu i po krótkiej chwili zwierzątko pokazało się na brzegu, całą swą długością zwrócone ku mnie. Jak do tarczy sypnąłem z dwulufki, kładąc piękne zwierzę trupem. Była to samica, karmiąca jeszcze dzieci, jak zauważyłem, których parkę w tydzień później zdobyłem w następujący sposób:

Polowałem na ptactwo wodne między stawami i w czasie odpoczynku dano mi znać, iż wydra gospodarzy w małem jeziorku niedalekiem. — Udałem się bez zwłoki i zająłem ukryte miejsce przy wąskim rowie, jedynem wyjściem z jeziorka, okolonego wałem. Częste wodne koła na powierzchni spokojnej wody upewniły mnie o bobrowaniu rabusia w stawie. Przechodziły kwadranse, godziny a rabuś nie pokazywał się. Nagle zakotłowała się woda tuż koło mego stanowiska w głębokim rowie i w zmąconej kałuży pokazała się płaska głowa rabusia, którego głośnym przywitałem strzałem, a w tej samej chwili pokazał się drugi na brzegu rowu, któremu drugim strzałem skróciłem żywot. Były to dwa młode egzemplarze głupie, jak się domyślałem, sieroty, szukające zabitej przezemnie niedawno matki. Jedyny w mem życiu wypadek zabicia wydry w biały dzień.

Polując lat tyle na te zwierzęta, mimo ogólnego mniemania nie znajdywałem ich nigdy w dziuplach drzew starych leżących — widywałem je na nagromadzonych na wodzie sitowiach, pływających kupach trzcin połamanych lub suchych kępach wygrzewające się w ciepłych promieniach słońca, lecz dość jest pluśnięcia wiosłem po wodzie, nieostrożnego uderzenia niem w bok łodzi, lub trzasku lekkiego złamanej trzciny, by czujne stworzenie było pod wodą, zanim strzelec zdąży je wziąć na cel.

W czasie sezonu myśliwskiego mieliśmy kilka książęcych polowań na wodne ptactwo, po zamknięciu których dalsze polowania należały do mnie wyłącznie. Urządzałem zbiorowe polowania kilka razy w sezonie, na które zielona brać myśliwska z bliskich i dalekich zjeżdżała się okolic. Kilkanaście łodzi wyjeżdżało na jezioro Wie-

luń, około 600 mrg. przestrzeni mające. Kaczek było nieprzeliczone mnóstwo, kanonada trwała godzin kilka bez przerwy, a rezultaty osiągnęliśmy kolosalne, po kilkadziesiąt sztuk na flintę. W czasie jednego z takich polowań mój Hektor natrafił w gęstych sitowiach na wydrę. Woda była tak płytka, iż zaatakowane zwierzątko nie mogło nurkować, a ciętość psa nie pozwalała ruszyć mu się z miejsca. Nadbiegłem psu z pomocą, lecz wobec zwinności ruchów zwierzęcia, psu trudno było pochwycić go za kark. Zawrzała piekielna między zwierzętami walka, pies atakował śmiało, zwierzę broniło się kłami zawzięcie. Na mój widok wydra zwróciła się do ucieczki, Hektor znów zastąpił jej drogę, a ja korzystając z jej ruchu, pochwyciłem ją za ogon i wypaliłem z pistoletu w łeb. Kula chybiła, uderzając w słup kręgowy, obezwładniając zwierzątko. Hektor dokonał reszty. Był to nad podziw wielki samiec, wagi 32 funtów, prawdziwy kolos między dotąd zabitemi 14—25 funtów ważącemi.

W czasie wiosennych lęgów ptactwa kolekcjonowałem zbiór jaj dla muzeów i mych ornitologicznych zbiorów. Zaskoczony pilnem zajęciem, pewnego dnia nie byłem w możności uczestniczenia w ich zbieraniu, wysłałem więc mych ludzi samych. Już dobry zmierzch otulał okolicę, gdy jeszcze mych zbieraczy widać nie było — byłem niespokojny i wściekły na nich za opóźnienie. W obawie, czy się nie przytrafiło coś złego mym chłopcom, wyszedłem na ich spotkanie i niepomiernie zdziwiłem się widokiem niesionej zabitej wydry i całym koszem jaj ptasich. Natrafili oni na przepływającą wąskie i płytkie koryto strumienia wydrę, a obstąpiwszy ją, uderzeniem kija po nosie uśmiercili.

Wydra łatwo daje się oswoić, ja jednak, czy nie umiałem, czy już takiego miałem pecha, nie doścignąłem tego. Podczas robót grabarskich na polach, ludzie złapali parkę malców kilkunastodniowych i mi je przynieśli. Nie mogłem znaleźć suki do ich wykarmienia a z ssawki pokarmu przyjmować nie chciały.

Po dwóch dniach mozolenia się z niemi, znudzony ich tęsknem, nieustannem gwizdaniem, odniosłem malców na miejsce rodzinne. Położywszy je na odkrytem miejscu w bliskości jeziora, ukryłem się o kilkanaście kroków w krzewinie, nie spuszczając ich z oczu, wyczekując pojawienia się ich matki. Wieczór jakoś leniwie tym razem nadchodził, purpurowy blask zachodzącego słońca zaróżowił łąki i stawy, a mej oczekiwanej wydry widać nie było. Anielska w podobnych razach ma cierpliwość dochodziła do zenitu, rój cichych komarów spijał łakomie mi słodką krew z rąk, szyi, twarzy, cisnął się w oczy, nos i uszy, załaził w rękawy i za kołnierz. Rzuciłem ostatnie spojrzenie na czołgających się na pagórku malców i zdębiałem na widok stojącej między nimi matki. Skąd ona i kiedy tu się zjawiła, przecież z pod ziemi wyjść nie mogła, a przestrzeń do najbliższego stawu była nie mała i zupełnie otwarta. Stała zgarbiona, jak gruby pałąk między dziećmi, obwąchiwając je chwilę, poczem uchwyciła mordeczką za kark jednego i poniosła do wody. Powróciła niebawem po drugiego. Rozrzewniony tą macierzyńską troskliwością zwierzęcia, nie śmiałem podnieść strzelby do ramienia, pozwoliłem jej spełnić rodzicielski obowiązek i odnieść drugiego malca spokojnie i zająć się dalszym ich losem.

Ale nie będę już dalej męczył łaskawego czytelnika memi wydrami, pozostawię je w rybnych wodach ich losowi, zresztą kto polował na nie i całe noce na chłodzie, deszczu lub pogodzie wysiadywał na czatach, ten wie, ile trzeba posiadać wytrwałości, cierpliwości i panowania nad sobą, by jednym nieostrożnym ruchem, nie popsuć wszystkiego. Nocne zasiadki są znakomitą szkołą dla myśliwego — tam nauczy się on wiele, podsłucha tajemne głosy, zrozumi ich znaczenie, wniknie w ukryte życie różnych stworzeń.

Jakkolwiek w mych wspomnieniach miałem zamiar mówić tylko o życiu i zachowaniu się drapieżników czworonożnych i skrzydlatych, pominąć mi trudno milczeniem scen z ogólnych polowań. Jednym z najwspanialszych terenów myśliwskich, były błotniste, kolosalne przestrzenie wysychających w czasie ciepłych jesieni stawów, małemi strumyczkami w przeróżnych poprzerzynane kierunkach, ściągających obfitością wodnego i błotnego robactwa wszelkie w tym czasie przelotne ptactwo, w jego jesiennych wędrówkach powrotnych do ciepłych krain. Dziś trudno uwierzyć opowiadaniom o tej masie bekasów, dubeltów, słonek, czapel, kaczek, gęsi i długonogich kulonów — jaką widywaliśmy jesienią na przelotach.

Od lat najmłodszych byłem pasjonowanym w polowaniach na bekasy, doszedłem też prawie do mistrzowstwa w strzelaniu do nich, w jednym z kolegów ojca mego znalazłem godnego towarzysza, a choć dzieliła nas różnica pół kopy latek, mieliśmy jedne upodobania i cel jeden: upolować jak najwięcej, najmniej spudłować. W jednem tylko byliśmy niezgodni z sobą. Ja nie brałem nigdy do ust wódki, p. X. rzadko kiedy był trzeźwy. Poważnych rozmiarów manierka z „visierwasserem" wisiała nieodłącznie przy jego boku, co chwila podnosił ją do nabrzmiałych ust, a im częściej to robił, tem pewniej strzelał. Nie schodził z pola — póki w swej sakwie nie miał tyle zdobyczy — ile lat sobie liczył. Dziś robi mi się ckliwie na myśl o tej ilości zabitych niewinnie ptasząt, z jaką tak często w pogodne dni sierpniowe powracaliśmy do domu. Sakwy nasze, jak cielsko olbrzymiego jeża, nadziane jak szpilkami, dzióbami ptasząt, ciężyły nam u boków. Nigdy jednak do tej perfekcji w strzelaniu do bekasów dojść nie zdołałem, jak mój nieboszczyk ojciec. W jego myśliwskich notatkach znajduję: „1875 16/8, 85 bekasów — 18/8, 40 i 6 słonek, 8 dubeltów — dalej 60 bekasów, 3 słonki, 12 dubeltów i t. p. Czterdzieści bekasów i kilka innych ptaków, były największym mym rekordem dziennym — sezonowym zaś 400 bekasów 15 dubeltów i 20 słonek.

Po osuszeniu wód i zamianie ich na łąki — z każdym rokiem zmniejszanie się ptactwa było widocznem.

(Dok. nast.)

STANISŁAW BARABASZ

Z przeżyć myśliwskich

Każdy z myśliwych miał w swem życiu różne przygody i był nieraz świadkiem zdarzeń, które opowiadane w kole znajomych, nie znajdują zwykle wiary, zwłaszcza, jeżeli dla dodania smaku popieprzone są choćby cokolwiek łaciną myśliwską. Są zdarzenia ciekawe, które należałoby podawać do wiadomości ogółu w sposób szczery i prosty, bez przydłużania kity lisowi, aby jej później nie potrzeba ze wstydem skracać, a zainteresują one z pewnością myśliwych i badaczy przyrody.

Mnie nie zdarzyło się w mem życiu myśliwskiem nic nadzwyczajnego, jednak utkwiło w pamięci kilka wypadków, z któremi się z czytelnikami „Łowca“ podzielę.

Zacznę od epoki kamiennej i mych lat najmłodszych.

Na wierzbie siedział wróbel. Rzuciłem na niego kamieniem wielkości pięści i w zapale przerzuciłem znacznie wyżej, bo ponad wierzbę. Wróbel uciekając podleciał pod spadający kamień i spadł z pękniętą czaszką.

Miałem karabinek powstańczy z 63 roku, do którego osadę sam dorobiłem. Nabiłem go kalibrową stożkową kulą. Na oście siedziało kilka szczygłów, oparłem karabinek o pień, wziąłem na cel jednego z nich i wypaliłem. Strzał był podwójny, najpierw spłonka spaliła, po chwili padł strzał. Szczygły po pierwszej eksplozji zerwały się, jeden z nich podleciał pod spudłowaną kulę i został rozbity.

Włócząc się z pojedynką za ptaszkami, brakło mi pakułów, papieru również nie miałem. Nie namyślając się długo, przybiłem proch świeżą trawą, żelaznym stemplem. Nabitą strzelbę zaniosłem do domu. Po kilku dniach wyszedłem z nią na polowanie. Do pierwszego ptaka spłonka spaliła. Podsypałem kominek prochem i strzeliłem do dzierzby siedzącej na drzewie za wodą.

Ku mojemu zdumieniu z lufy wyleciał z sykiem słup ognia jak z rakiety, a śruty spadły w wodę. Proch zawilgł od świeżej trawy, a po wyschnięciu palił się powoli.

Na magazynie kolejowym, pokrytym gontem siedziały wróble na dachu. Po mym strzale z pojedynki, uciekły wszystkie, został tylko palący się kłak. Stanąłem jak słup, nie spuszczając oka z palącego się kłaka, dopóki nie zgasł. Potem jeszcze wróciłem patrzeć, czy się nie rozpalił na nowo.

Od tego czasu nigdy więcej na dachy nie strzelałem.

Strzelam z pojedynki kulą do grubej topoli. Po strzale z przerażeniem widzę konia leżącego na grzbiecie i wyrzucającego nogami, o kilkadziesiąt kroków za topolą. Ładny strzał, zamiast w drzewo trafiłem w konia. Biegnę wystraszony do drzewa i znajduję kulę tam gdzie mierzyłem. Koń, którego nie zauważyłem, pasł się za topolą i zaczął się tarzać w chwili strzału.

Czy mię to uczyniło ostrożniejszym? Nie bardzo, bo strzelając ze sztućca o grubym kalibrze do celu przytwierdzonego do słupa, stojącego nad rzeczką, za którą rosły olszyny i prowadziła droga, w chwili strzału widzę dwóch żydków na tej drodze wysuwających się z poza słupa.

Szczęściem, że kula tkwiła w słupie, bo miałbym do zanotowania w dzienniku myśliwskim, dwa krzywonosy na jeden strzał.

Młodzi chłopcy wracają z polowania już w zupełnej ciemności. Słysząc nad głowami świst skrzydeł przelatujących kaczek, jeden z nich zrywa strzelbę z ramienia i z figlów pali na wiwat w górę. Po strzale słychać było uderzenie o ziemię spadającego ptaka. Psy pobiegły i przyniosły dwie krzyżówki.

Na krakowskich błoniach, na bajorko porosłe z brzegu trawą, zapadł w nocy przed nami jakiś ptak. O tem, żeby go strzelać nie było mowy z powodu zupełnej ciemności, bo tylko powierzchnia wody nieco błyszczała pod zachód.

Bajorko miało kształt podłużny. Poleciłem koledze stanąć niedaleko brzegu, a sam oddaliłem się i siedząc strzeliłem wzdłuż brzegu bagienka po trawie. „Czy poleciał“ pytam.

„Po strzale trzepotało się w wodzie, potem ucichło“.

Szukając we wskazanym kierunku, wyniosłem wielkiego kuliga, trafionego jednem ziarnkiem śrutu w głowę.

Do zrywającego się stada kuropatw chybiłem z obu luf. Patrząc za odlatującemi, chłopiec towarzyszący mi zawołał: Panie spadła jedna. Idziemy do wału kolejowego, gdzie się to stało i znajduję moją kuropatwę martwą, z głową zgiętą ku piersiom. Uderzyła widocznie o słup telegraficzny i spadła, lecz nie na skutek mego pudła. Do tego się jednak wówczas nie przyznałem.

W Bronowicach zrywa się z orki pojedyńcza kuropatwa, która po strzale spadła. Gdy ją podniosłem, widzę, że ma skórę na piersiach oddartą na obie strony, jakby rozpiętą kamizelkę. Czyżby mój strzał tak ją uporządził?

Przypatrzywszy się dokładniej, widzę na mięsie zakłucia szponów jastrzębia, którego musiał ktoś spłoszyć i któremu kuropatwa potrafiła się wyrwać.

Do zająca postrzelonego w tylne skoki, strzelaliśmy z bratem jeszcze pięć razy, zanim go dostaliśmy, podziwiając wtedy twardy jego żywot. Oczywiście, oprócz pierwszego i ostatniego strzału, wszystkie były chybione, z powodu pośpiechu i zdenerwowania.

W ten sam sposób do kwiczoła strzelałem sześć razy.

Zającowi ustrzeliłem raz trzy skoki i uszedł mi do sąsiedniego lasu za granicę. Na śniegu znać było tylko jeden skok wyraźnie odciśnięty, a trzy jakby zamazane.

Na krakowskich błoniach w miejscu, gdzie zrobiono później ślizgawkę wojskową, był półwysep oblany dookoła wodą. Miałem wtedy pojedynkę zrobioną z ułamka lufy zdaje się syberyjskiej skałkówki, długości około 60 centymetrów razem z osadą. Otwór w lufce był sześcioboczny i tak mały, że ziarnko śrutu numeru 00 prawie wchodziło. Strzelałem tą bronią różne drobne ptaszki kulkami.

Wybrałem się po ponowie na błonia. Wszedłszy na ów półwysep znalazłem trop zająca i idąc za nim, spostrzegłem go leżącego pod krzakiem ostu, o kilka kroków odemnie. Łeb miał zakryty ostem, tylko koniec niucha ruszającego się i słuchy widziałem. Strzelbina była nabita dunstem, wymierzyłem za słuchy i pociągnąłem za cyngiel. Spłonka spaliła, a zając siedział i ruszał wąsami. Założyłem tedy nową spłonkę i wypaliłem. Zając wyjechał z kotliny z jednym słuchem sterczącym a drugim opadniętym i poszedł przez lód na błonia, farbując po drodze. Ja za nim ostrożnie, próbując lodu, bo był cienki, poszedłem również. Jeden z żołnierzy, którzy tam ćwiczyli się w trąbieniu, usłyszał strzał chociaż cichy, o może i widział pomykającego kota, pobiegł za mną chcąc mi widocznie pukawkę odebrać. Załamał się jednak na lodzie i wpadł po kolana w bagno, klnąc od czeskich sakramentów.

Zając oblegał kilkakrotnie, dosyć znacznie farbując, nie dopuszczał mnie jednak na strzał i nie dostałem go.

Chróściel trafiony ziarnkiem śrutu przez oba oczy, wygoił się i żył kilka tygodni karmiony dżdżownicami.

Strzeliłem do słonki wysoko ponad głową, wyprostowała jedno skrzydło i spadła pionowo w linji śrubowej, kręcąc się w kółko. Skrzydło było zupełnie sztywne.

Zając goniony długo przez psy, po strzale zesztywniał tak, że myśliwy podjął go za tylne skoki twardego jak deska.

Na toku cietrzewi w Wielkich Oczach, myśliwy p. N. strzelał do tokującego koguta z karabinka automatycznego kal. 5 mm. cztery razy. Kogut za każdym razem przerywał tok, i nadsłuchiwał, padł dopiero po strzale śrutowym. Pokazało się, że wszystkie kule trafiły. To samo zdarzyło się tam także innym myśliwym, którzy byli zaopatrzeni w te karabinki.

Na polowaniu jesiennem zabiła tam pani B. słonkę, która w jej oczach na drzewie usiadła.

Na wieczornym ciągu kaczek w Kole Tynieckiem, strzelam do przelatującej krzyżówki, która spadła. Gdy po nią idę, zrywa się, strzelam raz, drugi, spada i znowu się zrywa, dopiero po trzecim strzale ją podnoszę.

Były to jednak trzy kaczki, bo dwie pierwsze znaleziono nazajutrz.

Stojąc na grobli nad jeziorem, widziałem, jak zapadł przedemną krzyk w szuwarze. Strzeliłem w to miejsce na pamięć, kszyk się zerwał i poleciał. Gdy mój towarzysz brodząc po jeziorze nadszedł, znalazł tam jednego zabitego kszyka. Niewiadomo, którego zabiłem czy tego, który zapadł, czy też tego, który już tam siedział.

Na łąkach w Czernichówku strzelaliśmy kszyki. Przed p. G. zerwał się kszyk. Widziałem, jak po jego strzale spadł ten i równocześnie drugi kszyk, który mu wpadł w strzał.

Polując w listopadzie w Bronowicach na zające, szedłem wzdłuż pokładów. Zerwała się pojedyncza kuropatwa, do której strzelam grubym śrutem. Ku mojemu zdziwieniu spada ich pięć. Ciekły one bruzdą a w chwili ściągnięcia cyngla zerwały się i wpadły mi w strzał.

We dworze gospodyni chciała zabić koguta, który jednakże nie dał się złapać. Ofiarowałem się zastrzelić go. Dosyć trudna to była sprawa, gdyż otoczony był całym haremem kur, kurcząt i innych kogutów, a przytem ruchliwy był bardzo, a chodziło o strzał w łeb, aby mięsa nie popsuć.

Upatrzywszy dogodną chwilę, strzelam ze sztucerka kal. 6,7 mm o krótkim flaszkowym naboju i kuli ołowianej. Kogot pada z dymem i trzepie się, po chwili wstaje i chodzi między kurami, farbi z rany koło oka. Poprawiam drugim strzałem z tym samym skutkiem, bo kula trafiła tuż obok pierwszej. Wstyd mi było, że dwoma strzałami nie potrafiłem zabić koguta, nie chciałem się więcej kompromitować i koguta dorżnięto wedle rytuału kuchennego.

Z tego sztucerka zabiłem później siedm rogaczy, na podchodnego, wszystkie padały na miejscu strzału.

Miałem rewolwer oficerski kal. 9 mm, który ostrzelałem na odległość 20 kroków, dorobiwszy do niego precyzyjną przesuwaną muszkę. Zabiłem z niego kilkanaście wiewiórek i różnych ptaków, w lasach w okolicy Szczakowej, gdzie spędziłem wakacje.

Przyznać trzeba, że te gryzonie twarde mają życie. Jedna wiewiórka trafiona na ukos pod łopatkę, tak że kula wyszła karkiem, wybiegła na wierzchołek sosny, i dopiero stamtąd spadła nieżywa.

Do innej strzeliłem i widziałem że ją trafiłem. Po strzale schowała się do gniazda sroczego, nie mogłem więc skutecznie do niej strzelać. Po dłuższym czasie przechodząc tamtędy, znalazłem ją martwą na ziemi. Miała tylko obcierkę od kuli na żebrach i od tego zginęła.

Jednę zaś strzeliłem z flobertu w nasadę karku, ta zginęła momentalnie.

Polując z kolegą F. na niepołomskich łąkach, nic nie spotkaliśmy. O dwieście kroków od nas stał poważnie bocian. Znudzony brakiem spotkania, wykręcam z dubeltówki śrut, wbijam stożkową kulę na kłaku i licząc na obniżenie kuli, podnoszę nieco lufy nad bociana i strzelam, nie w chęci zabicia go, jak raczej aby widzieć jego gwałtowne ruchy, gdy zabierze się po świśnięciu kuli do lotu. Bocian padł przeszyty w środku kadłuba.

Biegnie ku nam chłop, masz djable kaftan, myślę, będzie awantura, bo lud szanuje bociany. Ale nic podobnego nie było, chłop prosił tylko o mięso, aby sadło z niego wytopić na leki. Tym przypadkowo celnym strzałem zaimponowałem koledze i chłopu niepomiernie.

Gawrona strzeliłem kulą kal. 6,7 mm w brzuch, odleciał kilkadziesiąt kroków, siadł na drzewo z którego po chwili dopiero spadł.

Bocian trafiony taką samą kulą w brzuch, zerwał się, odleciał około 150 kroków i spadł martwy.

Przy nagance strzelam do bardzo blisko przebiegającego zająca, ten koziołkuje i zaczyna skakać w miejscu bardzo wysoko. Trwało to dosyć długo, sąsiad śmiejąc się woła, że mu łeb urwałem. I rzeczywiście, po skończonym miocie oglądamy go, łba niema, tylko skóra, na

której wiszą słuchy, nos, i wąsy, resztę zmiotły śruty idące kupą. I ten zając bez mózgu mógł tak długo żyć i skakać, podczas gdy inny, którego trafiłem w tył głowy jednym ziarnkiem śrutu, gdy szedł pod górę, ani drgnął po strzale.

Na ponowie pomknął przedemną zając. Po strzale zaczął się rzucać i kręcić w miejscu, potem zebrał się i poszedł dosyć ostro. Po drugim strzale został. Zaciekawiony, co było powodem jego wykrętasów, znalazłem postrzelane palce obu tylnych skoków, co go tylko chwilowo ubezwładniło.

Chciałem koniecznie zabić zająca kulą. Stojąc tedy na stanowisku podczas nagonki, zmieniłem w tesznerówce nabój śrutowy na kulę okrągłą i przepuściwszy zająca poza siebie, strzeliłem za nim. Padł jak szmata w śnieg. Kula trafiła w omyk, wbiła go do środka, wyszła piersią odciąwszy przedni skok robiąc dziurę, w którą można było zwinięty parasol włożyć. Trudno było tego zająca zabrać, tak się z niego farba lała.

Zając strzelony kulą 6,7 mm w łeb poza okiem, rzucał się długi czas, kręcąc się w kółko i farbił bardzo obficie.

(C. d. n.)



JAROSŁAW HUBÁLEK

Demon puszczy

(Autoryzowany przekład Wład. Karnkowskiego)

Noc cicha — lutowa. W puszczy mrok gęsty, rozrzedzony słabo migotliwem światłem wyiskrzonych gwiazd i niepokalaną bielą brokatu śnieżnego całunu. — Oko łowca, nawykłe do półmroków, wespół z bystrem i doświadczonem uchem, daje odczuć wyraźnie wrażenia, nieuchwytne dla mieszkańców miast.

Najbystrzejsze jednak oko, najczulsze ucho nie odkryłoby bliskiej obecności dwojga zwierząt, snujących się wąską ścieżyną górską, wydeptaną przez jelenia.

To para rysiów — krwawych demonów puszczy. Przodem, krótkiemi skokami sunie ona, o kilka kroków za nią idzie on. Kto rysia nigdy nie widział, nie dałby wiary, że ma przed sobą typowego kota — tak dalece odróżnia się odeń budową ciała. Raczej wysoki, niż długi — z krótkim, jakby obciętym ogonem. Wystarczy jednak widzieć jego ruchy, by uznać w nim członka rodu kotów.

Ogromne, prawie okrągłe łapy, z ostremi jak igły pazurami, pochowanemi w głębokich futerałach, bez szelestu grzęzną w śniegu. Olbrzymi pień, zwalony wiekiem, czy burzą, leży im na drodze... Rysica ani chwilę się zawahała. Bez śladu najmniejszego wysiłku, bez odskoku, lub przysiadu, przerzuciła żółtawe swe ciało zgrabnym łukiem czterometrowym i spokojnie mknęła dalej, jej przyjaciel za nią.

Był to bowiem istotnie sezonowy przyjaciel. Luty — czas godów weselnych. Długo biedak przebiegał puszczę, nim znalazł towarzyszkę. Właściwie ona pozwoliła mu się odnaleść.

Wczorajszej nocy, stęskniony i znudzony włóczęgą, miauknął sennie, i w tejże chwili z dołu od potoku, doszła do jego uszu cicha, tajemnicza, dla każdego innego zwierzęcia niedosłyszalna odpowiedź. Nie szedł węchem. Na zmyśle tym ryś polega niechętnie. Do celu marzeń doprowadził go wzrok i słuch, choć rysica ani kroku nie zrobiła na spotkanie przybysza. Poznali się na starej osice, wiatrem zwalonej. Ona wygięła grzbiet w kabłąk, błyskając potężnemi kłami. Snać skromność jej wymagała tego, by tęsknotę i pożądanie pokryć maską nieufnej obojętności. On odpłacił jej podobnym gestem. Chwilę tak stali oboje, przenikając się wzajemnie wzrokiem. Po chwili ona uległa jego sile magnetycznej, pokornie zeskoczyła z osiki i miękim ruchem pomknęła wzdłuż potoku, on krok w krok za nią. Kły już nie błyskały, przymierze było zawarte. Nad ranem spożyli pierwsze wspólne śniadanie. Spotkali roczną sarnę. Kilkoma czterometrowemi skokami dognał ją ryś i powalił wagą swych trzydziestu kilogramów. Legła cicho w mięki śnieg ze złamanym kręgosłupem. Jednem uderzeniem łapy rozerwał tętnicę i oboje ssali chciwie dymiącą na mrozie, ciepłą krew swej ofiary, poczem zapuścił kły w cąber, pozostawiając lubej mięsiste pieczenie. Byli syci. Resztę pozostawili na potem, o ile nie wpadnie w pazury coś świeżego.

Na małej polance rysica, wciąż idąc przodem, zatrzymała się. Nad wszelką miarę bystrym słuchem, odkryła obecność w pobliżu jakiejś żywej istoty. Oboje nastawili czarne pędzelki uszu ku pobliskiej gęstwinie. Szmer, nieuchwytny dla słuchu ludzkiego powtórzył się wyraźnie. Ryś zjeżył sierść na grzbiecie, białe wąsy górnej wargi dźwigły się ku górze, z pod nich zaś błyska biel strasznych kłów. Ciszę nocy przerwał złowrogi skrzek, niedający się z niczem porównać, ani naśladować. Coś, co napięciem tonu przypomina miąknięcie kota, przechodząc w mieszaninę chrapliwego ryku niedźwiedzia z grobowem wyciem wilka. Podobny skrzek groźny i wyzywająco zuchwały ozwał się z gąszczy i w półmroku pierwszego brzasku stanął na polance drugi ryś.

Obaj stali już w pogotowiu do walki. Jak na komendę, wygięły się grzbiety, krótkie ogony drgały nerwowo. Wielkie, okrągłe światła gorzały złowrogim, zielonym ogniem. Wielkością ciała, byli sobie prawie równi, jedynie intruz wydawał się młodszym nieco, wnosząc z trochę ciemniejszego futra i wyraźniejszych na niem plam czarnych. Wyglądał na czterolatka, w pełni sił młodzieńczych — szczęśliwy rywal jego natomiast, starszy nieco, w kwiecie męskiej dojrzałości, miał szatę płowo-żółtą o plamach jaśniejszych sześciolatka. O równowadze sił wiedzieli dobrze, więc poco je próbować, skoro wynik walki nie zdecyduje o wyborze bogdanki? Obojętna dla obu, spokojnie leżała na śniegu, bawiąc się naprężeniem i kurczeniem przedniej łapy. Pod krótką, ryżawą sierścią rysowały się wyraźnie mocne, jak stalowe liny, muskuły, a długie, sierpowato zagięte pazury raz wraz kurczowo wysuwały się i darły biel śnieżną.

Była dumna i szczęśliwa. Dwóch rycerzy ubiega się o jej łaski. Obaj młodzi, silni, dorodni. Bo też mają o kogo się ubiegać. Jest wprawdzie o dobre pięć kilogramów od nich lżejszą, mając zaledwie trzy lata. Zresztą, jako samica musi być szczuplejszą — nagradzając różnicę wagi, subtelnością kształtów i wdziękiem ruchów. Kożuszek nieco ciemniejszy, przez co i plamy nie tak wyraźne, ale za to jaki wspaniały — biały żabocik! Takąż bielą świeci wewnętrzna strona ucha, przechodząc ku górze po przez rudawy i bronzowy odcień w czerń usznego pędzelka. Na obliczu, z którego nigdy nie schodził wyraz zimnego okrucieństwa, gorzały dwie zielonawe lampy, zdolne przeniknąć najgęstszy mrok leśny. I teraz nawet, gdzie człowiek na dwadzieścia kroków nie rozróżniałby obrazu przedmiotów — źrenice jej są do połowy zwężone.

Wstała wreszcie krasawica, dając tem hasło do pochodu. Obaj rywale zgodnie poszli za nią, przez wszystkie przeszkody, które właściwie dla ich elastycznych mięśni nie istniały. Zdobyczy po drodze nie było — wrócono więc do napoczętej sarny.

Każdy zwierz ma swą piętę Achillesową, jeśli nie dwie, a bywa, że i wszystkie cztery. Ryś, tak szczodrze obdarowany przez przyrodę na ciele i duszy, ma jednak ową piętę — jedną wprawdzie — ale za to bardzo drażliwą. Wszystkie zmysły ma wyostrzone nad miarę, kosztem jedynego nosa.

Koty wogóle nie odznaczają się powonieniem — a ryś z nich najmniej. Zna on tę swą wadę, to też nigdy nie polega na nosie, kierując się wyłącznie wzrokiem i słuchem. To mu wystarczało, póki w walce o byt nie spotkał się z najcięższym swym wrogiem — człowiekiem.

Rozdartą sarnę znalazł nad potokiem leśny Hawran z gajowym podczas nocnego obchodu. Jeden rzut oka powiedział mu wszystko. Bez namysłu otworzył plecak, wyjął z jego wewnętrznej kieszeni małą flaszeczkę i ostrożnie zbliżył się do zwłok sarny. Gajowy tymczasem ostrym nożem nakroił obnażoną wątrobę, leśny zaś w nacięcie wpuścił z flaszki mały, niewinny orzeszek laskowy, drugi wpuściwszy w nacięcie nadgryzionej pieczeni. Ułamaną gałązką bukową z resztką jesiennego liścia zarównali za sobą ślady i poszli, a czego nie zdążyli zarównać, zasypał śnieg...

Nasza trójka prawie równocześnie dobiegła do wczorajszej ofiary. Młodszy ryś na jej widok zamruczał radośnie — widać bardzo głodny. Jednym skokiem był przy uczcie. Rysica zatrzymała się nieufnie opodal, podejrzliwie oglądając głęboki odcisk kolby u korzenia drzewa. Wprawdzie nie zdawała sobie sprawy, coby to było, pewną jednak była, że coś tu jest nie w porządku. Starszy ryś śledził ją bacznym wzrokiem, podczas gdy młodszy pożarł już apetycznie wątrobę. Zdradliwy orzeszek rozszedł się mu dziwną goryczką po języku, lecz sam już był w przełyku, na wyrzucenie było za późno...

Straszny skurcz wstrząsnął ciałem biedaka. Jęknął boleśnie, odskoczył od sarny i niepewnym krokiem usiłował dostać się do gęstwiny. Zrobił ledwie dwadzieścia kroków. Próżno krztusił się w wymiotach. Rozpaczliwie zaczął pazurami drapać śnieg pod sobą i to nie pomagało. Wreszcie skurcz śmiertelny chwycił go za serce i jak kosą podcięty — zwalił się w puch śniegowy. Parę razy wysunęły się olbrzymie pazury z pochew i skonał.

Rysica nie czekała ani chwili. Czuła, że śmierć krąży nad nią, toteż jednym olbrzymim skokiem odsadziła się od trupa, ryś podążył w trop za nią i znikli oboje, jak leśne duchy w ciemnej gęstwinie.

* * *

Ktoby w końcu maja miał chęć i odwagę wdrapać się na potężne głazy Sokolej skały, nie bacząc na niebezpieczeństwo złamania nogi, lub skręcenia karku, a znalazł szczęśliwie skalną rozpadlinę, zakrytą od przodu płaskim głazem spadłym gdzieś z góry, tegoby uderzyła dziwna woń, rozchodząca się z tej kryjówki. Kto po za tem bywał w cyrkach i menażerjach, temuby woń ta żywo przypomniała klatki tygrysów, lwów, lampartów i innych z rodziny kotów, przepojone ostrym zapachem wydzielin i gnijących resztek mięsnego pokarmu.

Tuż koło barłogu, który jedynie zapach powyższy zdradzić może, wiedzie ścieżka tak trudna, że chyba konieczność, lub szaleństwo mogą na nią człowieka wprowadzić. Przystęp do barłogu trudny dla człowieka, niemożliwy dla zwierza — wygodnym jest w zupełności dla rysia,

dla którego skok na trzymetrowy głaz jest taką samą zabawką, jak przerzucenie się przez pięciometrową rozpadlinę skalną.

Taki to barłóg wybrała nasza rysica dla spodziewanego potomstwa. W końcu maja dała życie dwojgu ślepych kociąt. Z macierzyńską cierpliwością wylegiwała godzinami, ogrzewając i karmiąc swe pociechy i tylko nerwowy ruch wiecznie czujnych uszu świadczył, że nie śpi.

W karpackiej puszczy ryś nie opływa w dostatki. — Zwierzyny tu stosunkowo mało. Zając trzyma się w pobliżu pól i na polach, sarna — prześladowana stale przez lisy, wilki i rysie, jest nieliczną i płochliwą, jeleń równie jak sarna, rzadki. Jarząbek, dzięki swej ostrożności, nie jest zdobyczą łatwą. Najwięcej rysiom przeszkadzają wilki. Potrafią bowiem tak rozegnać zwierzynę na wszystkie strony świata, że nieraz tygodniami trzeba czekać, nim się uspokoi i do dawnych ostoi powróci.

Ryś na łowach obchodzić się musi bez nosa, zdobycz jedynie wzrokiem i słuchem podchodząc, co nie jest rzeczą łatwą. Jeszcze pół biedy, gdy się o sobie tylko myśli. Ale matka, której niedołężne dzieci nietylko nie pomagają, lecz pozbawiają sił? To też prawa dawnych ludów inaczej sądziły zły czyn matki, inaczej niewiasty bezdzietnej. Natura jednak nie rządzi się sercem. Nie dba o to, że matka jest opuszczona, więziona przez obowiązki karmicielki; nic nie uczyniła, by matki nie czuły głodu, lub by ich dzieci rozwijały się bez pokarmu. Przeciwnie! Organizm wymaga silniejszego odżywienia i głód zmusza ją, by opuściła dzieci prawie zaraz po urodzeniu.

I naszą rysicę wygnał głód pod wieczór z barłogu. — Strasznie jej się nie chciało odejść od rysiątek, lecz co robić? Pieszczotą ich nie nakarmi! Więc zagrzebała je starannie w mchu i liściach i ruszyła w las. Ugasiwszy pragnienie w pobliskim potoczku, estetycznym łukiem przeskoczyła jakąś przeszkodę i jednym rzutem stalowych mięśni znalazła się na olbrzymim, mchem porosłym głazie, skąd widok roztaczał się rozległy na wszystkie strony. Tu usiadła, cała w słuch zamieniona.

W dole huczał wodospad. Ledwie cztery metry wysoki, toczył swe wody z taką gwałtownością na ostre skały podnóżne, że z ogłuszającym hukiem rozbijały się o nie w tumanach białej piany. Bacznie wsłuchiwała się weń rysica, pragnąc widać dobrze go zanalizować, by móc mimo niego uchwycić uchem każdy inny dźwięk.

Za ciemną koroną stuletniej jodły wychynęła srebrna tarcza księżyca, zalewając bladą poświatą dzikie, leśne urwiska, niżej leżące równiny, wioski i miasta. Widział ją zmęczony mieszczuch wychodzący właśnie z teatru, kąpali się w niej kochankowie marzący o przyszłem swem szczęściu, badał ją przez grube soczewki uczony astronom, rozkoszował się nią myśliwy czekający pod lasem na chytrego lisa, przeklinał złodziej, czający się cieniem po cudze dobro. Dla jednej tylko rysicy był ten blask księżycowy obojętnym. Rozejrzała się raz jeszcze uważnie w koło, poczem miękko stoczyła się z głazu i znikła w kierunku potoku.

W naturalnym porębie wyłamanym górskim huraganem na Wiatrowej Górze — pod gęstym krzakiem we mchu, siedziała cichutko kurka-jarząbka, osłaniając nastroszonemi skrzydłami ośmioro pstrych, czarno prążkowanych piskląt. Nie spała, bo jakże tu spać, gdy wszędzie wróg, wszędzie śmierć czyha? A ona sama, tak młoda, taka szczęśliwa... Przed rokiem była takiem samem pisklęciem, pod jesień wyrosła na słuszną pannę. Wiosną zeszła się ze swym wybranym o czarnej bródce i czubku na głowie. Szybko mijały dni ich szczęścia, aż dobiegły końca. Ledwie usiadła na ośmiu maleńkich jajeczkach, opuścił ją niewierny. A może wróci jeszcze, może nie zapomniał? Może zapragnie zobaczyć te ośm ślicznych, puchowych piskląt?

(C. d. n.)



JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI

O Zwierzyńcu w Poznaniu

Nie dla reklamy piszę niniejsze słowa, największą bowiem reklamą dla zwierzyńca, to Powszechna Wystawa Krajowa. Dziś zwierzyniec reklamy nie potrzebuje, wie o nim każdy Polak, a nawet stał się on niejako pewnym zwrotem w potocznej mowie. Będąc obecnego lata na obiedzie w restauracji w Grodnie, słyszałem przez odchylone drzwi, jak matka błagała w kuchni sześcioletniego synka, który osmarował sobie całą buzię, zjadając pierogi z borówkami — by się dał umyć. Chłopak wydzierał się i krzyczał, bojąc się zapewne nietyle wody,

ile zachlapania oczu wodą. Matka, nie mogąc dać sobie rady, zagroziła wreszcie dziecku słowami: „Jak się nie dasz umyć, poślę cię takiego zamurdzanego do zwierzyń-



Wejście do zwierzyńca

ca w Poznaniu". Chłopiec widocznie nasłuchawszy się o dzikich zwierzętach poznańskiego zwierzyńca, zmiękł i dał się umyć.

Dzięki P. W. K. dowiedzieli się o Polsce, a przytem o zwierzyńcu, także niektórzy mniej lub więcej nas kochający przyjaciele zagraniczni, przekonując się, że Poznań nie leży przecie całkiem u stóp Kilimandżaro, tylko trochę bliżej... Mówiąc o zagranicy, to dokładne wiadomości o zwierzyńcu, posiada od lat, jedynie Ameryka,



Lew morski wyszedł z basenu po rybę

zapewne dzięki potężnej tamtejszej Polonji. Mam przed sobą angielskie pismo „Poland" Nr. 5 z 1927 r., wychodzące w Nowym Jorku, gdzie oglądam z lubością piękną fotografię z podpisem „Elephants in the Zoological Park in Poznan".

Przystąpmy jednak do sprawozdania zawierającego bezspornie ciekawy materjał dla przyszłego historyka, a niejedną naukę dla tych, którzy są kierownikami kilku współczesnych zwierzyńców w kraju. Suche to liczby statystyczne, a jednak wielce wymowne.

Za każdorazowem opłaceniem wstępnego, zwiedziło zwierzyniec 242.509 osób, bezpłatnie zaś 10.982 dzieci, oraz 11.354 dzieci z prowincji i 4.082 żołnierzy za opłatą 10 gr.

Najwięcej zwiedzających przypada na dzień 22 lipca 1928 r. t. j. 9.813 osób, stan kasy 12.722 zł. 50 gr., zaś najsłabsza frekwencja była dnia 14 lutego 1929 r. (szalony mróz) t. j. 3 osoby, stan kasy 2 zł. 50 gr. Zaznaczam, że wejście dla dorosłych wynosiło 1 zł., dla młodzieży 50 gr.

Oto niektóre pozycje wpływów:

Sprzedaż zwierząt	8.561,36	zł.
Sprzedaż rogów	16.891,75	„
Wstępy	212.155,90	„
Jazda kucykami (dla dzieci)	3.112,80	„
Subwencje Magistratu	60.000,—	„
Subwencje Starostwa krajowego . . .	1.800,—	„
Subwencja instytucyj i osób prywatnych	5.410,—	„

Niektóre pozycje wydatków są:

Podatek państw. od nieruchomości . .	1.900,51	zł.
Ubezpieczenie ogniowe i od nieszczęśliwych wypadków	4.655,95	„
Kasa chorych, znaczki inwalidowe i ubezpieczenie urzędników	7.833,78	„
Opał	8.761,20	„
Uzupełnianie zwierząt	38.008,29	„
Żywność dla zwierząt	77.303,94	„
Orkiestra (7 p. a. c.)	11.840,—	„

Ogółem w ciągu roku sprawozdawczego 1928/29 dysponowano kwotą 377.355,01 zł.

Dzienne więc utrzymanie zwierzyńca łącznie z kosztami administracyjnemi i reperacjami, wynosiło 1.048 zł. 20 gr.

W ptaszarni, pawilonie dla wielkich drapieżców i ptaków strusiowatych, założono ogrzewanie wodno-centralne.

Z większych zwierząt nabyto: 1 tapira amerykańskiego, 1 hienę centkowaną, 3 jelenie aksis, 1 muflona, 4 antylopy, 1 kozła tar, 6 małp, 1 gwanako, 1 parę kondorów, 1 parę żórawi koroniastych.

Z przychówku uzyskano 1 żubra, 1 zebu, 2 owce grzywiaste, 2 niedźwiedzie brunatne, 3 źrebaki, 2 kozy, 5 owiec, 4 kaczki, 3 łabędzie i 3 pawie .

Jako dary w zwierzętach otrzymano: 1 orła przedniego, 3 papugi, 17 lisów, 2 wiewiórki, 1 kokoszkę wodną, 1 dziką kaczkę, 2 łasice, 2 tchórze, 1 sarnę, 15 białych myszek, 2 poświerki tygrysiki, 1 młodą wydrę, 6 jastrzębi, 2 łyski, 2 borsuki, 1 rogacza, 1 żółwia, 1 sokoła bielika, 1 małpę, 1 sowę, 1 gęś łabędzią, 1 parę białych indyków, 1 kota angorskiego.

Wskutek rozmaitych chorób i ostrej zimy, zeszły z ważniejszych zwierząt: 1 antylopa, 5 małp, 1 kozioł tar, 1 lampart, 2 strusie nandu, 1 struś afrykański, ogółem zeszło 54 ssaków i ptaków, czyli 5,71% całego zwierzostanu, który pod koniec roku wynosił 945 okazów w 257 gatunkach.

Jako dary w naturaljach otrzymano: 16 koni na żer, 105 q ospy żytniej, 25 q ospy pszennej, 15 q ospy jęczmiennej, 80 q wytłoków suchych, 1 wagon wytłoków mokrych, 30 q ziemniaków, 1 q kiełków słodowych.

Wielką imprezę Johna Hagenbecka p. t. „Wieś Cejlońska", urządzoną w zwierzyńcu od 19 lipca do 1 sierpnia 1928 r., zwiedziło 45.801 osób. Było to widowisko antropologiczne i zoologiczne, przy współudziale 70 mężczyzn i kobiet: Sygalezów, Hindusów, fakirów, czarodziejów, zaklinaczy wężów, tancerzy i tancerek, połykaczy szabli i pożeraczy ognia.

W końcu — w poczuciu spełnionego obowiązku — wspomnieć należy, że dnia 10 lipca 1928 r., zmarł w 85 roku życia współzałożyciel i prezes honorowy Towarzystwa Ogród Zoologiczny, ś. p. Stanisław Zieliński, którego zasługi około rozwoju zwierzyńca są niezapomniane.

Cześć Jego pamięci.

Cześć również Tym wszystkim żyjącym, którzy w czemkolwiek przyczynili się do wzrostu zwierzyńca, będącego chlubą nietylko Poznania ale i całej Polski.



Dr. STANISŁAW KOŹMIAN REJCHER

Pies

(Ciąg dalszy)

VI. Grupa psów myśliwskich.

Największą ilość ras reprezentuje grupa psów myśliwskich.

Rozpatrzmy — czy pochodzą one z jednego prapnia.

Dotychczas, prawie, że ogólnie, identyfikowano ten typ psów z wykopaliskami okresu bronzowego, które prof. Woldrich odnalazł w Weikersdorf i Pulkau w Dolnej Austrji i w Pleszowie w Czechach i jako Canis familiaris intermedius opisał i ogłosił.

Wykopaliska powyższych okolic nie były sporadyczne. Odnaleziono je także w warstwach okresu bronzowego i w innych okolicach. Prof. Dr Keller wspomina o darze czaszki intermedius z Wangen nad jeziorem Bodeńskiem a prof. Studer ze stacji La Théne nad jeziorem Neuchatelskim.

Studer tak pisze o czaszce Intermedius:

„Nie można jej identyfikować ani z czaszką Canis familiaris palustris Rûtimayer, ani też z Canis familiaris matris Optimae. Kształt jej jest raczej typem pośrednim między obydwiema czaszkami i reprezentuje nieznaną dotychczas rasę psów. Różnica widoczna jest w kształcie czoła i pyska; czoło jest szersze i więcej płaskie, górna szczęka (żuchwa) w połączeniu z kością jarzmową jest szersza, morda szeroka, linja profilu w zetknięciu się kości nosowej z łukiem jarzmowym mniej jest wklęsła. Forma ta nie jest jednak nową, gdyż znaną jest z czasów psa torfowego. Obecna forma jest tylko większą niż w partji czołowej tak też w żuchwie. Wobec powyższego przypuszczam, że Canis famil. Intermedius wyłonił się z psa torfowego".

Wzmiankowaną przez Studera różnorodną formę papalustris, trzeba, bez wątpienia, jako objaw konwergiencyjny, uznać, t. j. dążeniem dwóch, względnie więcej, linji do jednego punktu.

Istnieje także inna hipoteza niewiadomego twórcy, z którą spotykamy się, po raz pierwszy w r. 1919, a która twierdzi, że:

„Pies epoki bronzowej i pies torfowy napewno się skrzyżowały i powstała nowa forma, pośrednia, t. zw. Canis Intermedius".

Nie ulega wątpliwości, że wraz z pojawieniem się psa epoki bronzowej, jedyny dotychczas przedstawiciel psów, pies torfowy — musiał volens nolens skrzyżować się z nowoprzybyłym. Potomstwo stosownie do miejscowości, jak też zależnie od typu rodziców, przedstawiało inną formę i własności i mogło posłużyć do ukształtowania się innego typu. W każdym razie byłoby dziwnem i niewiarygodnem, gdyby bastard tego rodzaju z epoki bronzowej nie ukazał się w Środkowej Europie obok innych starszych psów. Strebel i inni kinologowie chcą nawet powyższy typ bastarda odnaleźć w obecnie je-

szcze żyjącym szwajcarskim psie gończym i w olbrzymiej rodzinie współczesnych Braków.

Innego zdania o pochodzeniu psów myśliwskich jest prof. Dr Keller. W pracy swej p. t. „Abstammung der ältesten Haustiere" powiada:

„Psy myśliwskie stoją w najściślejszym związku genetycznym z prawdziwemi chartami. Ich ojczyzną również jest południe i nasamprzód zjawiły się na ziemi afrykańskiej. Freski staroegipskie udostępniają nawet śledzenie, krok za krokiem, rozwoju i przekształcenia się psa charta w psa myśliwskiego".

Brak kopji malowideł staroegipskich w pracy Dra Kellera, które umożliwiłyby czytającemu jego pracę wyrobienie sobie własnego sądu o poruszonej kwestji, przyczynia się do sceptycznego zapatrywania na wyrażoną przez niego hipotezę. Później dopiero Dr Keller jaśniej wyłuszcza swoje poglądy w tej sprawie.

Dokumentami historycznemi udowadnia Dr Keller, że pies myśliwski jest pochodzenia egipskiego. Typowy pies myśliwski zjawia się w Egipcie o wiele wcześniej aniżeli Canis famil. Intermedius w Europie. Istnienie ich udowodniono już w Hierankopolis podczas pierwszej dynastji, t. j. na 3.000 lat przed Nar. Chr. Pana. Mówią o tem w swoich sprawozdaniach Quibell i Green. Dają oni nawet bardzo dobre odbitki obrazów odnoszących się do tej kwestji.

Dzięki powyższym dokumentom, sprawa przybiera więcej światłości.

Jeżeli przyjmiemy zgodnie z uczonymi, że okres bronzowy w Europie środkowej przypada na rok mniej więcej 1500 przed N. Chr. P., to wynika, że pies myśliwski nie jest pochodzenia europejskiego, ani też produktem krzyżowania psa torfowego z psem epoki bronzowej, gdyż już na blisko 2.000 lat przedtem pies o kształtach Intermedius istniał niezaprzeczalnie w Egipcie.

W dalszym ciągu pozostaje nam rozpatrzyć się w hipotezie Kellera, co do pochodzenia psa myśliwskiego od charta.

Stałość rasy chartów, która przetrwała przeszło 5.000 lat, daje poważne wątpliwości dla tego rodzaju wniosków. A jednak Dr Keller ma dużo racji w swem poglądzie.

Powołuje się na pracę prof. Maxa Sibera p. t. „Von den Hunden Afrikas".

W rozdziałach o psach środkowej Afryki daje Siber dokładne opisy psów afrykańskich wraz z podobiznami ich z przed wieków. Widzimy tam ongiś słynne psy tropowce z Katzeny (Bloudhounds of Katzena). Katzena leży na zachodzie od Kordofanu, gdzie Brehm i Hilzheimer napotkali charty w ich niezmienionym historycznym kształcie. Max Silber cytuje ustęp z „Tower Menagerie 1829", który brzmi:

„W środkowej Afryce przebywa rasa psów myśliwskich. Pułkownik Denham przywiózł trzy okazy tych psów ze swej fenomenalnej podróży przez Afrykę Centralną. Psy umieszczono w menażerji Towera a fotografje ich znajdują się w książce Benneta „The Tower Menagerie". Mister Denham polował z temi psami w Afryce na gazele. Wykazały one na polowaniu tyle chytrości, odwagi i sprytu, że żaden pies myśliwski Europy stanowczo im dorównać nie jest w stanie. Węsząc, szły za tropem, ale w sposób jakiś chytry i przebiegły potrafiły drogę przeciąć uciekającej zwierzynie. W niektórych wypadkach można je było puścić za farbującą zwierzyną nawet po kilku dniach po polowaniu. Psy te używają również w Afryce do tropienia nieprzyjaciela i zbiegów".

Psy Denhama miały zwisające, długie uszy krótkowłose i były czerwono-żółtej maści. Sławni badacze angielscy porównują te psy ze starożytnemi egipskiemi psami myśliwskiemi i podają, że podobne psy były ze Sudanu eksportowane do północno afrykańskich okolic.

Ze sprawozdania Denhama wynika, że psy jego były nie czystej krwi charty, lecz produktem krzyżowania charta z innym Canidem, przyczem potomstwo poddano poważnej selekcji w celu otrzymania z góry już nakreślonego typu. Skrzyżowanie prawdopodobnie nastąpiło z psem Paria z nad Białego Nilu.

Paria sukę z nad Białego Nilu oglądać było można w swoim czasie w Zurichu, gdzie pokazywał ją właściciel menażerji i którą nabył pewien rzeźbiarz szwajcarski. Podaję opis tej suki według słów prof. Sibera.

„Suka tego typu bezsprzecznie należy do rodziny szakali. Niepodobna ona jest do psów bezdomnych dolnego Egiptu, jednak tam się znajduje. Spotkałem dwa podobne do niej w Ismailji nad jeziorem Timsa. Według importera, ma to być pies Beduinów. Nie przypuszczam, by nazwa była nieprawdziwą. Psy tego kształtu spotkać można u Beduinów koczujących. Maść suki na grzbiecie jasno-żółta, brzuch i skoki białe. Wzrost 55 cm, budowa podłużna, kość drobna ale nie chartowata. Grzbiet nosa przechodzi prawie bez załamania do kości czołowej, oczy ciemne, nos czarny, palce dobrze rozwinięte. Uderzającą jest subtelna noga i małe stopki. Sierść gładka, raczej długa niż krótka, ogon długi, prosty tylko koniec trochę się ku górze wygina w formie fajki. Względnie duże, silnie na bokach osadzone uszy ciągle są w ruchu. Raz leżą jak u charta, innym razem silnie podaje je naprzód. Całość wraz z rodzajem stawiania kroków imituje typ szakala".

Opis Sibera uwypukla wyraźnie takie własności, jakich doszukiwać się musimy u praojców psa myśliwskiego.

Według Flaviusza Arrianusa (2-gi wiek po N. Chr. Pana) były psy myśliwskie w owym czasie ostropyskie, ale były też i takie z pyskami szerokiemi.

Jeżeli typ psa Paria opisany przez Sibera był w Egipcie już przed 5.000 lat, to można przyjąć za pewnik, że on wraz z chartem byli praojcami dzisiejszego psa myśliwskiego. Nie ulega wątpliwości, że w stanie dzikim zwierzę takie tam istniało. Pewnem także jest, że w owym czasie żyli też ludzie zdolni do udomowienia i wyhodowania podobnego gatunku.

Powyższe niezaprzeczalne fakty dowodzą, że starzy

Egipcjanie psa myśliwskiego posiadali, i że typ egipskiego psa myśliwskiego stał w bliskiem pokrewieństwie do charta, że był produktem hodowlanym Egipcjan, i że w stosunkowo wczesnym okresie na ziemi egipskiej się znajdował.

W celu usunięcia wszelkich wątpliwości co do pochodzenia europejskiego psa myśliwskiego, wypada stwierdzić dokładnie w jakim okresie przypadają malowidła staroegipskie, przedstawiające myśliwskiego psa egipskiego. Przyda się to nam dla otrzymania odpowiedzi czy pies myśliwski jest identycznym z czaszkami odnalezionymi przez Woldricha — Canis famil. Intermedius, czy też egipski pies myśliwski przybył do Europy jeszcze przed ukazaniem się Canis famil. Intermedius.

Według Quibella i Greena malowidła egipskich psów myśliwskich odnoszą się do okresu pierwszej a najpóźniej drugiej dynastji, a więc do roku 3000-go przed Nar. Chr. Pana.

Prof. Siber umieszcza pod reprodukcjami podobizn psów myśliwskich z Afryki napisy „Pies myśliwski z przed 4.000 lat“ co odpowiada roku 2.100 przed Nar. Chr. Pana.

Studer stwierdza, że widział odnośne malowidła odnoszące się do 12-tej dynastji (rok 2.000 — 1788) i takież 18-tej dynastji (rok 1580 — 1100). Ostatnie malowidło było płaskorzeźbą z Teb, które naonczas było stolicą dynastji 18-tej.

Ponieważ w powyższych czasokresach w Europie zaczyna się dopiero okres bronzowy, a Canis famil. Intermedius miał się wykształcić z psa torfowego i psa epoki bronzowej, więc jest wykluczone, by Intermedius w owym czasie drogę do Egiptu mógł już przebyć. W owym czasie na przebycie takiej przestrzeni jak z Europy do Egiptu, trzeba było dużo czasu poświęcić. Świadczy o tem choćby fakt, że żelazo w Egipcie znane było w 1500 roku, w Grecji w 1000, a w Skandynawji w 400 roku po Nar. Chr. P. Wiadomo nam jest również, że Egipcjanie pierwszy raz zetknęli się z mieszkańcami wysp Egejskich aż w roku 1850 przed naszą erą. W dalszym ciągu wiadomem jest, że w latach 1800 do 1600, Egipcjanie przeżywali okres niepokojów. W owym czasie azjatyckie szczepy koczujące, Hyksosi, opanowali dolny Egipt i dopiero po ich wyparciu przez Tutmozysa III-go podniosło się państwo pod rządem wielkich Faraonów do nowej potęgi i świetności.

Historyczne fakty dowodzą, że pies myśliwski stanowczo nie jest tworem europejskim, tylko afrykańskim, t. zn. egipskim.

Prof. Keller miał więc zupełną słuszność, twierdząc, że pies myśliwski jest pochodzenia nieeuropejskiego. Miał on też rację mówiąc, że pies myśliwski nie miał nic wspólnego z czaszką Canis famil. Intermedius, odnalezioną w okolicach jeziora Bodeńskiego.

Stosunki handlowe Egiptu z wyspami greckiemi rozpoczęły się jak wiadomo dopiero w XVIII. wieku przed naszą erą. W owym jednak czasie pies nie był źródłem handlu, bo było to zwierzę wyłącznie należące do władców, jako właścicieli i posiadaczy łowiectwa. Jeżeli jednak przypuścimy, że kilka sfor psów myśliwskich dostało się w ręce handlarzy, w co wątpię, to jak długo trwałoby, pókiby przez Cypr, Kretę i przez całą masę maleńkich wysepek egejskich osiągnęły ziemię Małej Azji i Grecję a stamtąd przez niespokojny Bałkan do Europy.

Objektem handlu stać się mógł pies myśliwski Egiptu i chart dopiero po panowaniu Ramzesa III-go, t. j. w końcu X-go i początkach XI-go stulecia starej ery, kiedy potęga Egiptu zaczęła silnie upadać, kiedy Egipt rozpadać się poczyna na małe księstewka. Dopiero z chwilą założenia przez Fenicjan portów handlowych nad morzem Śródziemnem, około 900 r. przed Nar. Chr. Pana, w zatoce Lyońskiej i na północnem wybrzeżu Afryki umożliwili sobie oni okrążenie Hiszpanji, docierając do wysp brytyjskich i do morza Bałtyckiego, wtedy dopiero rozpoczyna się handel na szeroką skalę Afryki z Europą. że Fenicjanie zajmowali się także i handlem psów, zdaje się nie ulegać wątpliwości. Nietylko Fenicjanie, ale również i Grecy trudnili się wywozem psów z Afryki. Grecy bowiem silnie konkurowali z Fenicjanami i pozakładali nad wybrzeżami morza Śródziemnego i wyspami egejskiemi mnóstwo portów handlowych. Miletos, osada jońska w Azji Mniejszej w Karji, niedaleko ujścia Meandru, było metropolją handlu Greków. Ich stosunki handlowe sięgały aż do Afryki i Italji. Na schyłku VII. stulecia ery starej, Grecy stają się władcami najbardziej uprzemysłowionego miasta Naukratisu, sławnego również z pięknych greckich heter - zalotnic. Później Cyrenaika rozwinęła się do potęgi wielkiego miasta przemysłowego. Naczynia gliniane z Cyreny były słynne i eksportowano je nawet do Italji. Cyrenejczycy z Egiptu przecież przyjęli kult Ammona i Izydy i przeszczepili takowy na grunt grecki. Fakt, że paręset lat przed Nar. Chr. P., kolonje greckie nietylko między sobą, ale także przez mieszkańców Miletosu i Cyrene utrzymywali żywe stosunki z Egiptem, daje pełne prawo wysnuć wniosek, że i psy myśliwskie przez nich właśnie do wybrzeży europejskich się przedostały.

(Dok. nast.)



Korespondencje

Rudna 1929

Przechodnie dziki

Gdy myślą wracam w ubiegłe lata i przeżycia łowieckie, to najżywiej przypominają mi się moje i moich przyjaciół spotkania z jeleniem, dzikiem, czy kozłem. Zawsze z jednakiem a żywem zajęciem odczytuję stare karty i zapiski mego dziennika łowieckiego, odnoszące się do tych łowów.

Przeglądając nie wiem po raz już który w życiu zapiski rewiru Rudna (powiat Rzeszów), w którym prawo polowania od roku 1907 do roku 1925 należało do mnie, odczytałem sobie niedawno opis trzech dziczych „zgonów“ w tym par excellence nie dziczym rewirze. Pozwolę sobie podzielić się nimi z czytelnikami „Łowca“.

Przed wielką wojną, a więc przed rokiem 1914, nigdy dzików w Rudnej nie było. Pierwszy raz zauważono tu dziki jesienią 1915 roku. Dziki przyszły prawdopodobnie z sąsiednich lasów p. Jana Jędrzejowicza z Zaczernia (gdzie także dawniej ich nie bywało). Nikt do nich wtedy nie strzelał i tak jak przyszły niespodzianie tak i niespodzianie się wyniosły. W zimie 1915/1916 a nawet w lecie 1916 roku tłukli się za dzikami po rudzieńskich lasach różni umundurowani, wojenni Nemrodzi — ale szkód dziczemu rodowi nie wyrządzili żadnych, bo albo dzików nie spotykali, albo do przychodnich dzików chybiali.

Pierwszy dzik w Rudnej padł z mojej ręki dnia 3 listopada 1917 roku. Jechałem dnia tego przed wschodem słońca do lasu i pod samym lasem strzeliłem z wózka z brzaskiem dnia warchlaka, który za długo się na nocnej lumpce na kartoflisku zabawił.

Potem znowu przez dłuższy czas zapomniano o dzikach w Rudnej, bo nawet straż łowiecka nie spotykała ich w rewirze. Dopiero w trzy kwartały po „zgonie“ mego warchlaka, padła w Rudnej dnia 24 lipca 1918 roku locha od kuli strażnika łowieckiego Przybyły.

I znowu głucha cisza zaległa rewir rudzieński — a tylko czasem ktoś mówił, że tam ktoś „widział“ dzika, że tam kogoś dzik „nastraszył“, że ktoś nawet przed dzikiem „uciekał“. W rezultacie wkrótce dzik przestał być w Rudnej pojęciem łowieckiem, a stał się równoznaczny z bajką i plotką gminną.

Jakież tedy było moje zdziwienie, gdy po podjeździe na rogacza wjeżdżając późnym wieczorem dnia 8 sierpnia 1921 roku z moją siostrą i z moim szwagrem Stanisławem hr. Tyszkiewiczem na duże łąki wśród lasów rudzieńskich, zastaliśmy tam 3 dziki, które zmęczone całodziennym upałem wyszły z przyległej gęstej kultury i rozkoszowały się błotem w dużym rowie na łące. Szwagier mój szybko z wózka zeskoczył i błyskawicznie strzelił z Schönauera do jednego z tych trzech dzików (średniego odyńca), który stał zwrócony do nas na sztych po drugiej stronie rowu. Dzik zrulował po strzale jak zając. Dostał on śliczną kulę w łeb między oczy. Pozostałe dwa dziki znikły jednym susem w kulturze.

To był trzeci i ostatni dzik, jaki poległ za moich czasów w lasach rudzieńskiego rewiru w ciągu lat ośmnastu.

Cześć św. Hubertowi!

Stanisław Korwin-Milewski
delegat M. T. Ł.

Gródek Jagielloński, 14 września 1929

Z powiatu gródeckiego.

Stan ptactwa wodnego przedstawia się w naszym powiecie następująco:

Krzyżówek jest mało, trzymają się dużych stad na czystem zwierciedle stawów, zrywają się wszystkie razem i odlatują w dalsze strony. Pojedyńczych w szuwarach zaszytych nie spotyka się. Również wieczorem ciągną wszystkie naraz, w kilku większych stadach i jakby na dany sygnał, tak, że ciąg t. j. przelot ich trwa tylko kilka chwil ledwie.

Cyranek jest natomiast bardzo dużo, ale i te zrywają się i ciągną tylko w większych stadkach i o jednym czasie.

Dubeltów nie spotykałem. Są one u nas rzadkim gościem, gdyż podniosłe kwaśne łąki i błota im nie odpowiadają.

Kszyków jest natomiast bardzo wiele i w słoneczne ciepłe ranki dotrzymują bardzo dobrze.

Obawą o stan zajęcy, zimą tegoroczną zdziesiątkowanych i o kuropatwy, które cudem gdzieniegdzie przezimowały, napawa nas wielka ilość lisów, które się ogromnie rozmnożyły. Tym bieda tego roku nie dokuczyła, lecz przeciwnie, żeru z padłych sarn, zajęcy i zmarzłego ptactwa miały poddostatkiem i głodu wcale nie zaznały.

Dr H. Malsburg
delegat

Gródek Jagielloński, 17 września 1929

Praktyczny sposób mierzenia długości kłów dziczych.

Każdy, kto chciał zwykłą taśmową miarą krawiecką mierzyć długość kłów dziczych, pamięta ile miał trudności i kłopotu z powodu zesuwania się ślizkiej ceratowej taśmy po krzywej a kanciastej krawędzi kłów. Musiał najczęściej używać do tego pomocy rąk drugich a odczytywanie było niedokładne i żmudne.

Zaradzić temu jednak można bardzo łatwo, sporządzając sobie miarę sztywniejszą, elastyczną i dobrze do brzegów i kształtu kłów się adoptującą. Kupuje się mianowicie u zegarmistrza zużytą starą sprężynę zegarową około 30 cm długą a około ½—1 cm szeroką, wyprostowuje się ją i na jednej lub dwu jej powierzchniach, karbuje się zapomocą ostrego narzędzia według miary, odległości centymetrowe ewentualnie i półcentymetrowe lub znaczy się je atramentem.

Taką miarą można najdokładniej i szybko długość kłów zmierzyć.

Do mierzenia szerokości nb. używać się musi nadal tylko miary taśmowej elastycznej.

Dr H. Malsburg



Sprawy Towarzystwa

Sprawozdanie z posiedzenia Wydziału M. T. Ł. w dniu 27 września 1929.

Przewodniczy Wiceprezes A. Mniszek, obecni: wiceprezes A. Sander, członkowie Wydziału T. Jędrzejowicz, Dr. A. Małaczyński, St. Pieńczykowski, Dr. W. Ziembicki i zastępcy St. Jaśkiewicz i St. Madeyski.

Nieobecność usprawidliwili prezes J. hr. Bielski, wiceprezes J. Stiller oraz M. Chrzanowski i A. Papara.

Przy sprawozdaniu kasowem stwierdzono, że członkowie Towarzystwa znacznie zalegają z wkładkami, a wobec tego postanowiono sprawę ściągnięcia zaległości od opieszałych płatników oddać syndykowi Towarzystwa Dr. J. Rosienkiewiczowi.

Na wniosek Dr. W. Ziembickiego, postanowiono wydać na spółkę z firmą K. Gubrynowicza, pracę ś. p. Kazimierza Wodzickiego p. t. „Słonka", drukowaną w „Łowcu" w r. 1886.

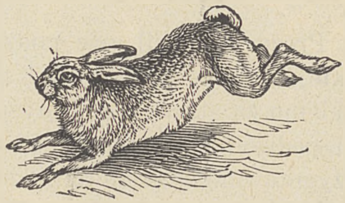
W ten sposób Wydział spełnia obowiązek podyktowany pietyzmem, gdyż „Słonka" jest jedynem dziełem śp. Autora z cyklu „Zapisków ornitologicznych", dotąd książkowo nie wydanem.

Stwierdzono natomiast, że wydanie zbiorowe dzieł śp. Aleksandra Ubysza, przechodzi narazie możność finansową Towarzystwa.

W myśl wniosków służbodawców, popartych opinjami delegatów powiatowych, nadano odznaki honorowe dla zasłużonych członków straży łowieckiej: Wojciechowi Jaremie w Stratynie na wniosek Zarządu Dóbr Stratyn, Karolowi Flandorferowi w Kętach na wniosek Panów Edwarda Zajączka i delegata M. T. Ł. Stanisława Tehna, dzierżawców polowania, poparty przez M. T. Ł. Oddział w Krakowie, Leonowi Dudkowi w Siedliskach, Władysławowi Kalandykowi w Racławówce, Wojciechowi Kalandykowi w Niechobrzu i Wawrzyńcowi Skibie w Zwięczycy, na wniosek Towarzystwa myśliwych w Rzeszowie, poparty opinją delegatów M. T. Ł. Dr. Adama Midowicza i Władysława Gürtlera.

W poczet członków zostali przyjęci: Marceli Białkowski w Krasicznie powiat przemyski, Roman Pawlik w Wulce Mazowieckiej powiat Rawa ruska, Dr. Jan Pawłowski w Rzeszowie, Mieczysław Tchórznicki w Warszawie, Dr. Tadeusz Wiczyński we Lwowie, Dr Tytus Vrabetz we Lwowie.

Na wniosek Dr. W. Ziembickiego, postanowiono zwrócić się dodatkowo do Związku Polskich Stowarzyszeń Łowieckich z dezyderatem, by przy nowelizacji prawa łowieckiego, ustanowiono czas ochronny dla dzikich gęsi z uwzględnieniem ich czasu lęgowego.



Komunikaty

Z Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

Łącznie z Pierwszą Polską Powszechną Wystawą Łowiecką, odbył się w dniu 7 września b. r. w majętności Iwno, własność p. Ignacego hr. Mielżyńskiego, doroczny konkurs wyżłów dowodnych, urządzony staraniem Wielkopolskiego Związku Myśliwych.

Otwarcie konkursu zagaił Prezes p. ppłk. rez. Chłapowski, witając obecnych, przyczem wyraził swą radość z licznego stawienia się kandydatów jak i gości.

Zgłoszonych do konkursu zostało 14 kandydatów, z których stawiło się 12, z tych zdyskwalifikowano 1 wyżła z powodu złego wyglądu i niedokarmienia. Egzamin odbył się z pracy za farbą, z pracy leśnej, wodnej i polnej. Przy pracy za farbą stwierdzono z ubolewaniem, że za wyjątkiem 1 kandydata, który prowadzony na otoku wypracował postrzałka, zaś drugi po mozolnem kluczeniu, również doprowadził do padłej zwierzyny, reszta wyżłów zupełnie zawiodła. Po skończonym egzaminie z pracy wodnej, z którego się kandydaci wywiązali dość zadowalająco, odbyło się wspólne śniadanie. Następnie przystąpiono do pracy polnej. Bardzo silny wiatr utrudniał w wysokiej mierze pracę kandydatów, jak i również fałszywe rozstawienie menerów, którzy prowadzić musieli wyżły swe z wiatrem, co też przewodniczący p. ppłk. Chłapowski w bardzo energiczny sposób zamonitował. Na specjalne wyróżnienie w tej pracy zasługują: wyżeł „Ossa" p. Nowickiego jak i roczna wyżlica „Kora" menera leśn. Szymaniaka, która już dzisiaj wykazała wysoką klasę przy pracy w suchem polu. Po odbytem posiedzeniu Komisji Sędziowskiej w skład której weszli: PP. Przewodniczący Prezes ppłk. rez. Chłapowski, wiceprezes Fr. Unrung, Generał Unrung, H. Górski, nadleśn. T. Metzig, Gozimirski, Wichliński, A. Janta-Połczyński, kier. biura Leporowski oraz jako gość Dr. Szuman, podaje przewodniczący p. ppłk. rez. Chłapowski, następujące wyniki:

I. nagrodę zł. 300,— i dyplom W. Z. M., otrzymał p. leśn. B. Gramowski, za wyżła „Odin";

II. nagrodę zł. 200,— i dyplom, p. leśn. Szymaniak, za wyżła „Bekas";

III. nagrodę zł. 150,— i dyplom, p. R. Nowicki, za wyżlicę „Osa“;

IV. nagrodę zł. 50,— i dyplom, p. A. Gaponow, za wyżlicę „Leda“.

Nagrodę specjalną dla psów młodocianych otrzymał p. Szymaniak za wyżlicę „Korę“ a mianowicie medal srebrny.

Następnie p. Prezes wyraził swe podziękowanie Komisji Sędziowskiej za pełne poświęcenie się i pracę oraz p. hr. Mielżyńskiemu za stawienie do dyspozycji terenu, straży leśnej i podwód p. nadleśn. Piszczygłowie za pracę około przygotowania terenów do konkursu.

Zamykając II. Premjowy Konkurs Wyżłów Dowodnych, apelował p. Prezes do wszystkich menerów, aby w tym kierunku jak najintensywniej pracowali i aby przy następnym konkursie popisać się mogli naprawdę pierwszorzędną klasą swych wyżłów i wniósł okrzyk na cześć św. Huberta.

Przy końcu przemawiał p. Generał Unrung, apelując do wszystkich menerów, by w pierwszym rzędzie lepiej dbali o karmę i wygląd wyżłów, tych najwierniejszych towarzyszy wszystkich myśliwych.

Na zakończenie przemawiał p. Nowicki, dziękując imieniem menerów i gości w gorących słowach p. Przewodniczącemu i Komisji Sędziowskiej za podjęte starania i pracę przy urządzeniu konkursu.

Pierwsze międzynarodowe konkursy strzeleckie w Truskawcu.

Przed kilku dniami odbyło się w Truskawcu posiedzenie organizacyjne pierwszych międzynarodowych konkursów strzeleckich. Program, który niedługo zostanie opublikowany, zawiera strzelanie z broni długiej dowolnej do jelenia i dzika, strzelanie z broni małokalibrowej długiej i krótkiej, wreszcie strzelanie do rzutków.

We wszystkich konkurencjach nagrodzonych zostanie pierwszych 10 miejsc. Na uwagę zasługuje specjalna nagroda: Grand Prix Truskawca; zwycięzca otrzyma duży srebrny puhar i 3000 franków w złocie.

Zaproszenia zostaną rozesłane do wszystkich towarzystw i klubów strzeleckich w kraju i Europie.

Program imprezy zakrojony na skalę europejską.

W niedługim czasie zostaną podane bliższe szczegóły.

Inż. T. Jurjewicz



Sprostowania.

W artykule z Oddziału M. T. Ł. w Krakowie w Nr 19 „Łowca“, na str. 302 kolumna 2 w 4 i 3 wierszu od dołu opuszczono w druku po słowach „wolno podbierać“ słowa: „ich jaja, wybierać“ — oraz na str. 303 w 5 wierszu od góry, zamiast § 1) ma być 51).

W korespondencji: „Z Rzeszowskiego — Wspomnienie z lat 1914—1924“, umieszczonej w Nr 16 „Łowca“ z 16 sierpnia 1929 — wkradły się następujące pomyłki: Na stronie 256, szpalta 1-sza, ustęp 2-gi, wiersz 5-ty — zamiast słów: „136 szkodników t. j. 2 lisy“ ma być: „137 szkodników t. j. 3 lisy“ i t. d. — Na stronie 256, szpalta 2-ga, ustęp 2-gi, wiersz 6-ty — zamiast słów: „1919/1920“ ma być: „1918 do 1920“.



Redaktor odpowiedzialny: Albert Mniszek Nakładem Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego
Drukarnia Księgarni Polskiej Bernarda Połonieckiego, Lwów, ul. Chorążczyzny 27 — Telef. Nr. 4 - 32